№ 23 WARSZAWA, DNIA 7 CZERWCA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Teraz, kiedy nastała wiosna, żacy nie mogli wytrzymać w ciasnych ścianach. Zaraz na dole był zielony cmentarz, tylko w mniejszej części zajęty pod groby, przy samym kościele. Większa część, porosła gęstą trawą, a pod płotem pokrzywami i łopuchami, była jakby stworzona do zabawy dla żaków, uwięzionych w dusznej bursie. Senior pozwalał często gęsto wybiegać tam scholarzom pod wieczór. Jak psy wypuszczone z długiego zamknięcia, upędzali się żacy bez zmęczenia, bez chwili wypoczynku, po murawie, z wrzawą niesłychaną. Wszystko byłoby dobrze, gdyby na tę ich zabawę nie patrzył krzywo najbliższy sąsiad, proboszcz Wszystkich Świętych, kanonik Czarnkowski.

Był to pan bardzo bogaty i uczony. W domu jego, stojącym przy kościele i cmentarzu Wszystkich Świętych, pełno było najdziwniejszych wyrobów, najpiękniejszych sprzętów, makat, opon jedwabnych, futer najdroższych. Nie dlatego, by się w nich kochał, tylko, że nie rozumiał życia bez zbytku i wykwintności. Nie zajmował się całem bogactwem, nagromadzonem w swoim domu, zdając to na służbę, której miał mnóstwo. Sam lubił odwiedzać przyjaciół, a w domu czytać dzieła Seneki i Plauta, których miał piękną kolekcję.

Raził go tedy wrzask straszliwy, który czynili żacy, upędzając się po cmentarzu. Ponieważ jednak w niezłych był stosunkach z dobrodziejem bursy, księdzem Bartłomiejem z królewskiego mostu, przezwanym Sabinką, profesorem w Collegium majus i kanonikiem kapituły św. Florjana na Kleparzu, przeto nie chciał użyć swej władzy proboszczowskiej i zakazać wprost młodemu seniorowi, by nie puszczał żaków na cmentarz. Za to, ilekroć wrzawa stawała mu się zbyt nieznośną, posyłał pachołka, by się żacy uciszyli.

Stąd poszła wielka nienawiść wzajemna żaków i pachołków proboszcza. Ale żacy zagarniali w nią i księdza Czarnkowskiego. On to, jak mniemali, prześladował ich, z jego łaski nie mieli oni swobodnej chwili wśród zabawy. On to przez usta zuchwałych swych pachołków powiedział żakom, iż lepiejby było, by nigdy nosa z bursy nie wystawiali. To też zdziwiłby się kanonik niepomału, gdyby mógł zmierzyć nienawiść, którą pałał ku niemu scholarski naród w bursie.

Jedynie, gdy kanonika nie było w domu, nic nie mąciło dobrej myśli scholarzy.

W niedzielę cała bursa Wszystkich Świętych i wszyscy żacy z tej szkoły musieli śpiewać w swoim kościele. Hiero-

nim śpiewał wraz z nimi. Słońce skośnemi smugami wpadało w niebieskie powietrze kościoła, w którem uwijały się tysiące pyłków i płynął dym kadzideł. Organy grzmiały, potem podnosił się chór scholarzy, uroczysty, wzbijał się głosem wysoko wyciągniętym aż hen ponad nawę, zdawało się i ponad sklepienie. W chwilach ciszy, gdy ksiądz śpiewał swoje słowa przed ołtarzem, płonącym świecami, słychać było, jak za oknami prześcigają się krzyki jaskółek, i z daleka, jak dzwonią dzwony innych kościołów w mieście.

Czasem i w środku tygodnia trafiało się jakie dobre nabożeństwo, które przerywało nauki. Pogrzeb jakiego dobrodzieja parafji, albo jakie wesele uroczyste.

Zanim Hieronim przywykł do ciasnego życia w bursie, żałując, po niewczasie, straconych pieniędzy, chciał dowiedzieć się, gdzie jest Andrzej. Wspomniał mistrza Pawła i wybrał się do niego pewnego dnia. Coś mu się zdawało, że może i lepiej porzucić nauki i iść do Andrzeja.

Mistrz Paweł w oficynie.

Hieronim wszedł do niewysokiej, sklepionej izby i rozejrzał się. Było w niej ciemnawo, choć na dworze słońce zalewało ulice krakowskie. Okna małe w grubych murach wpuszczały światło, przesycone niebieskim cieniem.

Izba była długa, wązka, wszędzie leżały grube zwoje papieru szarawego, stały paki, skrzynie, beczułki. Na stole dębowym, zrobionym z prostych desek na skrzyżowanych nogach, leżał rozłożony regestr. Przed nim kałamarz i duże pióro gęsie, poplamione na chorągiewce czarnemi plamami. Ale nie było nikogo.

— Może to nie tu? — pomyślał Hieronim, cofając się ku drzwiom, któremi wszedł.

Zamierzał wyjść, gdy z drugiej izby ktoś zawołał:

— A kto tam?

— Do mistrza Pawła! — odpowiedział Hieronim, zatrzymując się.

Wszedł czeladnik, przepasany fartuchem, obrzucił okiem gościa, i nie przystając, poszedł dalej, każąc mu iść za sobą.

Przeszli na drugą stronę sieni i weszli do frontowej izby, gdzie Mikołaj bibliopola, to jest księgarz, sprzedawał swoje księgi. Czeladnik wpuścił Hieronima, sam odszedł.

— Co tam? — spytał rozrosły i wysoki mąż, obracając się ku drzwiom do sieni.



To nie był mistrz Paweł. Miał ryżą brodę, rumianą twarz, wysokie czoło, bujne ciemne włosy i wielkie oczy czarne, bystre, chmurne i uważne.

— Do mistrza Pawła — rzekł Hieronim znowu.

— Pawle! — zawołał gospodarz ku drzwiom w głębi, prowadzącym do tylnej izby.

Wszedł mistrz Paweł.

— A! — rzekł — to mój gość. Pójdźno, siadaj. Dobrześ trafił, bo dziś ma tu być ktoś, co z Wołoch jedzie.

Potem poszedł do gospodarza, pochylił się na stół i począł mu ciszej opowiadać, snać o swojem spotkaniu z Hieronimem.

Wtem otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł mnich, Dominikanin, jak widać

było po habicie białym i szkaplerzu czarnym.

— Co słychać? — spytał bibliopola Mikołaj, witając się z nim. — Siadaj, ojcze Leonardzie.

Dominikanin usiadł, otarł spocone czoło i rzekł:

— Grzeje dobrze! Miły Boże! Jakto zeszłego roku o tej samej porze zimno jeszcze było, plucha. Choć pod śmierć starego króla Zygmunta czas był dziwnie cichy, na Wielkanoc.

Mówiący miał wązką, cienką twarz, bronzową od wieku czy od spalenia słońcem, i smutne oczy siwe, błądzące po świecie i uśmiechające się to ku temu, to ku owemu.

— Dobrzeby wypić chłodnego wina — rzekł bibliopola gościnnie. — Pogwarzym w izbie za sklepem.

Wstał i wyszedł do sieni, aby kazać przynieść wina.

— Na zamku mówią-li co nowego? — spytał Mistrz Paweł.

Hieronim nastawił uszy.

— E! — rzekł mnich, niechętnie i pobłażliwie, kiwając ręką—to samo! zawżdy to samo! Źli na króla jegomości wszyscy, ci za to, że żony odrzec się nie chce, owi za listy, co je ziemianom rozesłał po blizko przeszłym sejmie.

— Ba! — rzekł Paweł. — Listy dobre i pięknie napisane. Ponoć to kanclerz?...

Mnich potrząsnął głową:

— Nie wiem - rzekł.— Mądry pan, biskup krakowski — powiedział po chwili. — Tym dwum: biskupowi i kasztelanowi krakowskiemu wielka łaska i wielka powaga u króla to sprawuje, że u wszystkich w wielkiej nienawiści zostają.

— Tak bywa — rzekł Paweł.

Mikołaj, który wrócił i słuchał, ruszył ramionami. Potem powiedział dobitnie:

— Takiego sejmu, jak ów zeszłoroczny, nie pomną ludzie, aż chyba za dziada królewskiego, Kazimierza. Ani obrony opatrzyli, ani praw żadnych nowych, ani...

— Mało tego! — przerwał mnich, podnosząc swoją chudą ciemną twarz i siwe oczy ku Mikołajowi—ale królewska obraza! Mało, że rady prawią, mało, że żony usunięcia żądają, ale sądów mu bronią! Warunki mu do władzy przepisują, Rzeczpospolitę do dna samego w zamieszanie i roztarganie podając, a wszystko, chciwcy, jeno dla swej ukrytej korzyści a łakomstwa. Psuje się świat! Widziano-li to kiedy, by pan, młody, dobry, we wszystkiem godny, ludzki, sprawiedliwy, taką, od samego wejścia na tron swój własny i swoich przodków, otoczon był nienawiścią pospolitą?

Mnich, widać to było, wpadł na swoją materję ulubioną. Twarz jeszcze mu pociemniała, oczy połyskiwały.

— By wszyscy byli spowiednikami królewskimi, ojcze Leonardzie—rzekł Mikołaj, podnosząc rękę ku ustom i rozsuwając wąsy na dwie strony—tedyby wszyscy mieli ku królowi jegomości twoją chęć wierną.

— Nie wiem - rzekł, śmiejąc się, Paweł, który przysiadł na stole — czyliby tak ich to odmieniło? Tegoby jeno patrzyli, iżby pokutę jaką godną królowi obmyślili: królewszczyzny, starostwa, urzędy, wszystko pod zbawieniem duszy imby musiał pooddawać.

— Może i prawda! — zawołał Mikołaj ucieszony.

Ale zakonnik nachmurzył się, nierad z żartów.

Wtem wniesiono wino, kubki do tylnej izby i ze szczękiem poczęto je tam ustawiać na stole.

Hieronim czekał, czy nie dojdzie rozmowa do rzeczy, które go tyczyły. Tymczasem przyglądał się jak mógł mnichowi, dorozumiawszy się, że to jest królewski spowiednik: często króla widuje,

w konfesjonale go słucha, na zamek doń chodzi. I nic. Nie mógł odkryć nic takiego, coby mu tę blizkość Dominikanina do króla jawnie ukazywało. Mnich, jak mnich, mało ich się widuje wszędzie?

Ale uważał na niego bacznie i z ciekawością.

Teraz wszyscy trzej wstali i przeszli do tylnej izby, za sklepem. Hieronim został sam. Rozejrzał się po sklepie, po półkach, na których stało wiele ksiąg, po stole, gdzie leżało parę. Wtem posłyszał zniżony głos Mikołaja, co natychmiast zwróciło całą jego uwagę na rozmowę w tylnej izbie.

Mikołaj, który wszedł ostatni i lekko przywarł drzwi za sobą, zapytał mnicha cicho:

— Jakże, ojcze Leonardzie, twoja praca? Biblję na polski język wykładasz?

— A! — westchnął mnich. — Mój synu, im więcej rozważam, tem zuchwalsze mi się widzi przedsięwzięcie.

(D. c. n.)

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

— Spojrzyjcie tam, jaki dziwny widok! Tu się wynurza jeden „djabeł morski”, tutaj drugi, a tam znów trzeci! Pojedziemy szybko do brzegu i weźmiemy czółno do polowania.

Robert Molski i Karol Werner zgodzili się chętnie. Polowanie na te potwory musiało być bardzo ciekawe. Inni rybacy również zauważyli ukazanie się olbrzymich ryb i niezadługo kilkanaście łódek rozpoczęło gonitwę za niemi.

Młody marynarz zapalił się ogromnie do polowania i chciał koniecznie pierwszy ugodzić zdobycz harpunem.

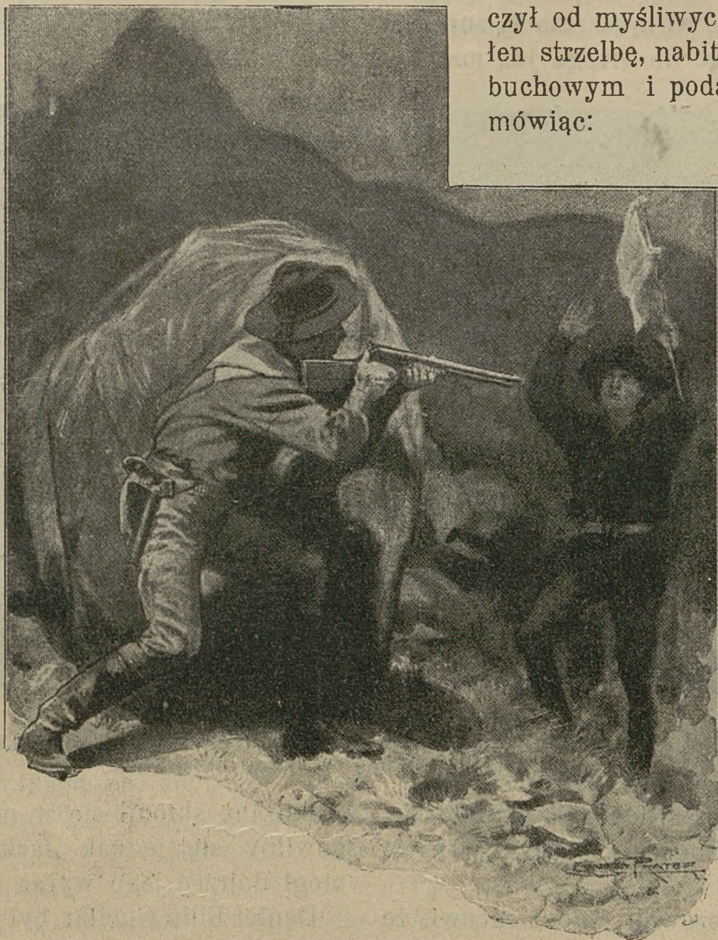
Sternik małego parowca rozkazał spuścić małą łódkę na wodę i wyszukał na statku stary harpun, zakończony ostrzem stalowem z dwoma zakrzywionemi hakami i przymocowany na linie, długości stu pięćdziesięciu stóp.

Zanim popłynęli inni myśliwi, Robert zbliżył się już na małej łódce do wielkiego stworzenia. Trzymając w wysoko podniesionej prawej ręce harpun, wyczekiwał, aby bliżej podpłynąć do boku olbrzyma i nim ugodzić morskiego potwora. Wkrótce nadeszła stosowna chwila: czółno zatrzymało się nagle, i Robert cisnął harpun z całej siły w olbrzymie cielsko.

Ostrze stalowe wbiło się głęboko. „Djabeł morski” podrzucił się w górę, uderzył kilkakrotnie powierzchnię wody swym potężnym ogonem i zniknął w głębinie.

Po krótkiej chwili wypłynął znów na

powierzchnię i skierował się na otwarte morze, ciągnąc za sobą łódkę. To wszystko stało się tak szybko, że nawet łódź, wioząca Karola Wernera, pozostała daleko



.... W ciemnościach dojrzał sylwetkę silnego mężczyzny, który powiewał białą szmatą... (do Nr. 21 str. 326).

w tyle. Dopiero, gdy zwierzę osłabło już nieco, udało się podoficerowi dogonić Roberta i doczepić swoją łódkę do pierwszej.

„Djabeł morski” krążył powoli po zatoce. Harpun tkwił w ciele jego tak silnie, że powoli doczepiały się i inne łódki. Wreszcie zwierzę ciągnęło dziesięć łódek, nie poddając się jednak. Z tym wielkim ciężarem olbrzymie stworzenie sterowało zręcznie po gładkiej fali zatoki. Wiatr ucichł zupełnie, powietrze było duszne i gorące, i myśliwi z niecierpliwością czekali końca tego nużącego polowania.

Karol Werner tymczasem pożyczył od myśliwych z dalszych czółen strzelbę, nabitą pociskiem wybuchowym i podał ją Robertowi, mówiąc:

— Niech pan upatrzy chwilę, gdy zwierzę ukaże łeb nad powierzchnią wody; wtedy strzelaj pan śmiało między oczy. Tym strzałem dobije go pan stanowczo.

Przeszło jednak sporo czasu, zanim olbrzym wypłynął. Dwa jeszcze harpuny utkwione były w wielkim cielsku potwora, ale to nie wywierało żadnego skutku.

Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila

i młody marynarz wystrzelił dwa razy raz po raz.

„Djabeł morski" bił z wściekłością wodę ogonem, która zaczerwieniła się od krwi na dużej przestrzeni. Drgania olbrzyma początkowo silne, wkrótce osłabły zupełnie i przyciągnięto go do brzegu już martwego. Po zważeniu zwierzęcia okazało się, że miało ono długości 10 stóp a ważyło 1500 klgr.

Wszyscy winszowali młodzieńcowi, że dzielnie spisał się na polowaniu.

Powróciwszy późnym wieczorem do fortu Jacksona, Robert zamierzał odpłynąć nazajutrz do Nowego Orleanu pierwszym odchodzącym statkiem. Karol Werner obiecał przysłać mu natychmiast do hotelu St. Louis wiadomość, o ileby jacht pana West ukazał się w zatoce.

Tymczasem do hotelu St. Louis przybył pan West ze służącym Danem i zapytał natychmiast o Roberta Molskiego, Dan odpowiedział, wzruszając ramionami:

— Pan Molski był coprawda tutaj, ale przed paroma dniami oddalił się, nie pozostawiwszy żadnych wskazówek. Ta pewność i zaufanie, jakie pan w nim pokładał, zdają się zawodzić

— Nie pytam się ciebie o to, Dan — rzekł krótko pan West, — daj mi znać, gdy przyjdzie.



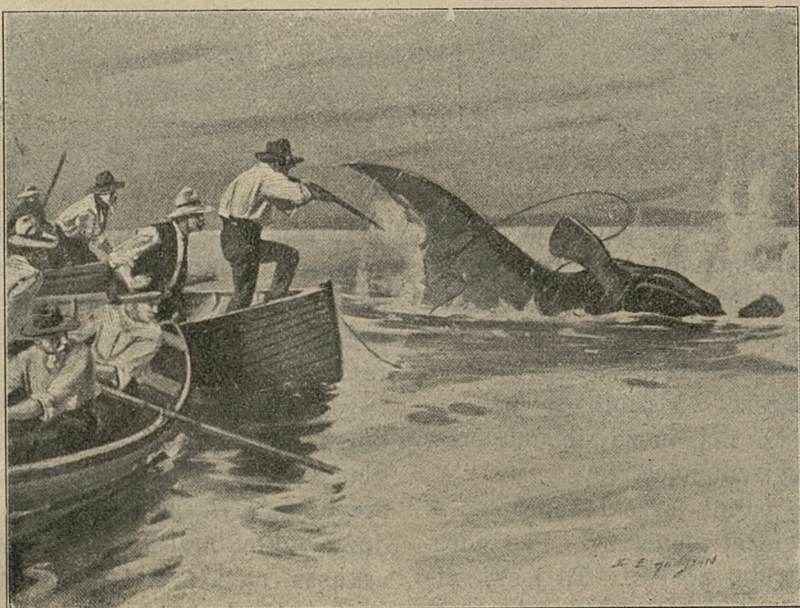
.... Trzymając w wysoko podniesionej prawej ręce harpun, wyczekiwał, aby bliżej podpłynąć do boku olbrzyma...

Służący skłonił się w milczeniu. Zastanowiłby się jednak Jack West, gdyby mógł dojrzeć jego wyraz twarzy.

Daniel Filip Cuellar był potomkiem meksykanina, może jednak we krwi jego znajdowała się domieszka krwi indyjskiej, pochodzącej od jego pradziadów.

Budowy był silnej i muskularnej; twarz o rysach ostrych, okolona czarnym zarostem. Potrafił wkraść się w zaufanie Jacka West i stać mu się niezbędnym, spełniając ślepo wszystkie jego rozkazy. Stanowisko jego przy panu West było czemś więcej, niż miejscem służącego. W niektórych wypadkach służył swemu panu radą i miał nawet pewien wpływ na jego postanowienia.

Jack West lubił za pomocą swych bogactw przywiązywać do siebie ludzi, którzy dawali dowody szybkiej decyzji i energicznego postępowania. To też, gdy dostał się do niego na służbę przed laty Daniel Filip Cuellar, krótko Danem zwany, potrafił przypodobać się panu i umocnić swoje stanowisko i nie zgodziłby się za żądną cenę, aby go ktoś miał z tego stanowiska usunąć.



.... Młody marynarz wystrzelił dwa razy raz po raz...

Daniel Filip Cuellar, jako potomek starego meksykańskiego rodu, posiadał niesłychaną dumę, pomimo przesadzonej uprzejmości w obejściu. Pragnął władać za wszelką cenę. Ojciec, umierając, nie pozostawił mu majątku, a on też nie potrafił sam sobie go zdobyć. Pan Jack West, którego poznał w Meksyku, mógł być mu pomocnym do zaspokojenia w pewnym stopniu tej żądzy władzy.

Znienawidził on Roberta Moiskiego od pierwszego spojrzenia. Pan Jack West lubił polaków, dlatego też Dan obawiał się, że młody marynarz pozbawi go z czasem jego stanowiska, które sam będzie chciał zająć. Nie mógł wystąpić w otwartą walkę z Robertem, ale w głębi duszy obmyślał sposoby, jakby przeciwko niemu zaostrzyć strzałę.

Gdy Robert powrócił następnego ranka, był zawezwany natychmiast do Jacka West.

— Dopuściłeś się pewnego uchybienia, mój chłopcze — rzekł tenże do Roberta.

— Nie wiedziałem panie! Podług pańskiego rozkazu udałem się natychmiast do Nowego Orleanu, zapytałem o pana w hotelu, a potem pojechałem do zatoki, aby odszukać jacht. Ponieważ jednak do tej pory go tam nie było, więc powróciłem.

D. c. n.



Marja Buyno

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Zygmunt rozważył szybko propozycję: nie potrzebowałby rozstawać się ze swą biblioteczką i miałby pieniądze na opędzenie najpilniejszych potrzeb... To prawda, ale jakieś dziesięć, powiedzmy 15 rubli wyczerpią się szybko, a wówczas co? Skończyłoby się prędzej, czy później na sprzedaży książek. 75 rubli, to już poważna suma! Z nią może się uda przeczekać do przyjazdu ojca.

— Dziękuję panu! — rzekł stanowczo.— Muszę mieć więcej pieniędzy. Pan daruje, że nie powiem po co... To jest... nie zupełnie... moja sprawa!

— Dobrze! więc jutro rano przyszlę po książki i zarazem dostarczę pieniądze... Do widzenia!

Po wyjściu antykwarjusza, Zygmunt odetchnął z ulgą: będzie miał pieniądze! Ale zaraz potem żal ścisnął mu serce: stanął przed szafką, otworzył oszklone drzwiczki i wodził pieszczotliwie ręką po grzbietach książek.

— Już wy nie moje, nie moje! Żegnajcie przyjaciele! — szeptał, a łzy, wielkie i czyste jak perły, staczać się zaczęły po jego twarzy.

Agnieszka weszła cicho do pokoju i zatrzymała się, zdumiona: po raz pierwszy od czasu, jak była w tym domu, ujrzała chłopca płaczącego.

— No, no! – pokręciła głową, — trzeba naprawdę napisać do pana, bo tu się dzieje coś niedobrego.

*

* *

Michaś nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się w nim działo: nigdy, w najśmielszych swych marzeniach nie mógł przypuszczać, że spotka go takie powitanie!

Gdy pierwszy raz po chorobie przyszedł do szkoły, cała czwarta klasa miała wygląd świąteczny. Ławka na której siedział, przybrana była zielenią, a na stoliku stał duży bukiet prześlicznych kwiatów, obok arkusza, na którym wymalowany był łańcuch rąk, złączonych uściskiem. Pośrodku tego łańcucha czerniały wypisane ładnym, wyraźnym charakterem wyrazy:

„Witaj nam, drogi kolego! Nierozerwalnym łańcuchem połączyły nas z tobą poczucie naszej winy i prawdziwa dla ciebie przyjaźń! Zapomnij, przebacz i kochaj nas!"

Koledzy klasy czwartej!

Skąd taka zmiana? Co się stało?

Niemiał jednak czasu na rozmyślanie, bo oto wyciągnęły się ku niemu ramiona i ściskano go, całowano, zasypywano serdecznemi słowami.

— Dziękuję wam! Dziękuję wam!— powtarzał wzruszony, oddając uściśnienia wszystkim wokoło.

Nie zauważył tylko w ogólnym rozgardjaszu wyciągniętej ku niemu ręki Zygmunta i pominął ją, jedną jedyną.

Profesorowie również serdecznie witali

chłopca, jego historja przedostała się jakoś do nich, i wszyscy szczerym współczuciem darzyli ofiarę smutnego zbiegu okoliczności.

Jeden tylko Zygmunt siedział poważny, poważniejszy, niż kiedykolwiek, ponury niemal. Biegły ku niemu niechętne spojrzenia kolegów, pytające profesorów.

— Czyżby zawiść nie pozwalała mu cieszyć się z powrotu do zdrowia kolegi?

Michaś stał się „Benjaminkiem". klasy. Jego miłe, pogodne usposobienie, jednało mu wszystkich: chłopcy wyścigali się poprostu w okazywaniu mu najrozmaitszych usług, ubiegali się o jego sympatję. Za największe szczęście poczytywano sobie, gdy Michaś którego poprosił do siebie. Do domu odprowadzała go zawsze liczna gromadka, znajdował zawsze wielu chętnych, gdy chodziło o pomoc w nauce z powodu opuszczenia tylu lekcji. Uśmiechnięty, zawsze rozpromieniony, robił wrażenie światła słonecznego, które rozjaśnia wszystko, gdy się ukaże.

Przy wrodzonych swoich, dużych zdolnościach, szybko dopędził kolegów i zaczął wyraźnie wysuwać się naprzód.

— Jak tak dalej pójdzie, Strzembosz będzie primusem! — mówili profesorzy, a chłopcy niczego bardziej nie pragnęli, jak tego właśnie.

— Nasz Michaś musi być pierwszym! — powtarzali i każdy śledził tak pilnie jego postępy, jakby to o niego samego chodziło.

Zygmunt usunął się zupełnie w cień. Poważne usposobienie odbijało rażąco od wesołości i żywości Michasia, a pewna ociężałość i zmęczenie jakby poczęło się odbijać i na postępach w nauce.

— Bardzki zaczyna się opuszczać! — mówili między sobą profesorowie. — Strzembosz, zdaje się, niedługo wyprzedzi go!

I rzeczywiście. Dążeniem Michasia, silnym niepowściągnionym, było wyprzedzenie Zygmunta.

Był to jedyny kolega, który go nie lubił, jedyny, który mu zazdrościł, jak mu to nieraz mówił Witold; ten wreszcie, który stanął między nim i kolegami, powodując takie ciężkie przejścia.

— Nienawidzę go! — zawołał raz Michaś, gdy Witold opowiadał, jak Zygmunt nigdy nie dowiadywał się o jego zdrowie.— Nienawidzę go! To jest niedobry chłopiec!

— A widzisz! A broniłeś go zawsze!

— Tak, to prawda! przyznaję, że się myliłem! Zdawało mi się, że jest szlachetny i prawy. Wiesz, chwilami nawet posądzałem cię, że za surowo go sądzisz, że jesteś uprzedzony.

Witold zaczerwinił się.

— Ach, daruj mi! Przekonałem się, że miałeś zupełną słuszność. I to także prawda, że mi zazdrości! Sam się o tem przekonałem!

— O, ja o tem wiedziałem oddawna! To jest nielada ambicja. A że jest sprytny, poznał odrazu w tobie rywala i stąd cała nienawiść.

Michaś wzdrygnął się.

— A ciągle się łudziłem, że on mnie lubi. Zdawało mi się, że w oczach jego dostrzegam ciepłe błyski sympatji...

— Oj, ty idealisto!

— No, teraz otrzeźwiałem! Czy wiesz, że on się ze mną nawet nie przywitał po moim powrocie po szkoły?

— Czyż to podobna?! To przecież obrzydliwe! — zawołał z oburzeniem Witold, a jednocześnie przypomniał sobie, jak zręcznie usuwał Zygmunta, by mu nie pozwolić zbliżyć się do Michasia.

— Ależ tak! Wszyscy to zauważyli i byli oburzeni!

— Ot, nie rób sobie nic z niego! Widzisz przecież, że wszyscy usunęli się od tego sobka; już on teraz nie będzie ci szkodził.

Lecz wyraz: nienawidzę! rzucony w uniesieniu przez chłopca, już pozostał w jego duszy, napełniając ją złemi wzruszeniami, ciągłym niepokojem.

Gdy Zygmunt odpowiadał lekcje, oczy Michasia wpijały się weń rozgorączkowane, złe, mściwe. Za każdą omyłką błysk tryumfu przebiegał przez jego ładną, miłą twarzyczkę, oszpeconą nagle złemi uczuciami. Udatne odpowiedzi pogrążały go w smutku, wywoływały wyraźnie zły humor i niezadowolenie.

Zmieniało to powoli charakter Michasia: z dobrego, łagodnego, pogodnego chłopca, zmieniał się stopniowo na złośnika, kapryśnika, a nadewszystko zazdrość poczęła go nurtować, nie dając spokoju.

* *

*

Pani Strzemboszowa była nad wyraz szczęśliwa: nie tylko że jej ukochany syn zyskał zdrowie, lecz widziała go przed sobą uszczęśliwionego, rozradowanego, zawsze otoczonego kolegami, którzy okazywali mu tyle prawdziwej sympatji. Profesorowie wyrażali się o Michasiu bardzo pochlebnie, podnosząc jego zdolności, pilność i dobry charakter!

Gdy tylko znalazła chwilkę swobodnego czasu, przychodziła po chłopca do szkoły i czuła się nadzwyczaj dobrze w otoczeniu hałaśliwym nieco, lecz szczerze wesołym, swobodnym i pogodnym. Z Michasiem, uczepionym u jej ręki, otoczona gromadą chłopców, śpieszyła do domu, gawędząc wesoło, śmiejąc się i radując weselem tego niemilknącego, nieskończenie ruchliwego grona.

Koledzy Michasia nadzwyczaj lubili te wspólne powroty i gdy tylko pani Strzemboszowa nie ukazywała się przez kilka dni, dopytywali natarczywie:

— Dlaczego twoja mateczka nie przychodzi?

Pewnego razu pani Strzemboszowa przyszła wcześniej, niż zwykle i czekała dobrą chwilę, zanim zaczęły się wysypywać z gmachu szkolnego gromadki uczniów.

Pierwszy wyszedł chłopiec poważny, o smutnych, ciemnych oczach; szedł sam, z głową opuszczoną, ociężałym krokiem.

(D. c. n.).

Malutkie państewko

O trzy wiorsty od brzegów Księstwa Walji, na pełnem morzu, wznosi się skalista wysepka, której nieliczni mieszkańcy (dokładnie 77-iu), są wszyscy rybacy.

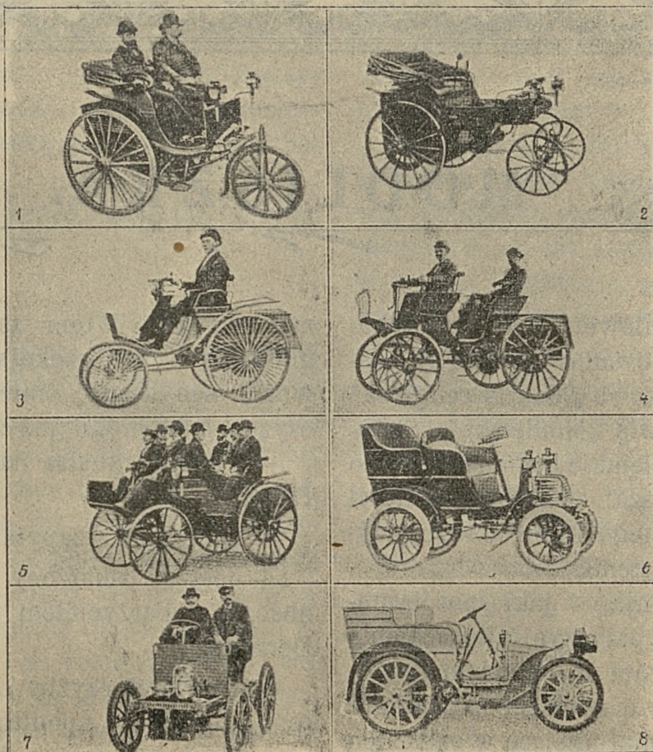
Wielu ludzi sądzi, że wyspa Bardsey należy do Anglji, tymczasem wcale tak nie jest.

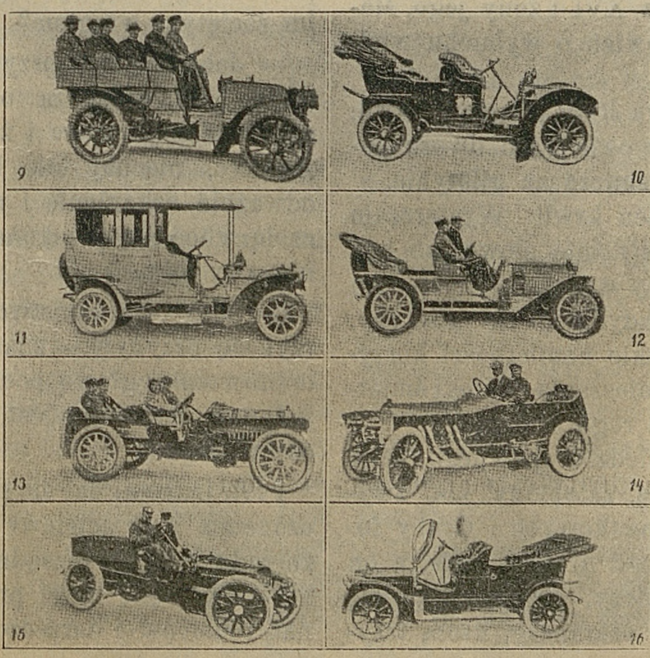
Bardsey stanowi samo lilipucie państewko i jego mieszkańcy zupełnie nie uznają zwierzchnictwa Anglji. Panuje tam niezależny władca, którego przodkowie byli zawsze panami tej ziemi.

Jerzy V, ma zresztą w tym monarsze spokojnego sąsiada, który oprócz obowiązków królewskich, jest też doktorem i nauczycielem ludowym i chociaż nie podlega prawom angielskim, nigdy ich nie łamie. Poddani jego nie płacą podatków i żyją spokojnie, zajmując się rybołówstwem.

Oddaleni od reszty świata, tak mało się nim interesują, że na wysepkę nie przychodzi nawet żadne pismo. Ale gości, którzy przyjeżdzają oglądać ten ciekawy zakątek, przyjmują z wielką gościnnością.

Stopniowy rozwój samochodów.





MODLISZKA.

W lasach południowej Europy spotykamy ciekawy okaz owadów z rodziny szarańczy, zwany naukowo „Mautis religiosa" a w potocznej mowie „Modliszką". Stworzonko to, mające niejakie podobieństwo do modlącej się staruszki, ocaliło od śmierci na gilotynie, sławnego francuskiego przyrodnika, Piotra Latreuil.

Ciekawa to historja, w jaki sposób modliszka mogła się przyczynić do ocalenia człowieka; zaraz wam to opowiem.

Wiemy wszyscy o wielkim przewrocie społecznym, jaki miał miejsce w ostatnich latach XVIII stulecia we Francji, pod panowaniem Ludwika XVI i żony jego, Marji Antoniny, mianowicie o wybuchu wielkiej Rewolucji.

Podstawy państwa były zburzone, król, królowa oraz wiele osób z ich dworu ponieśli z woli ludu śmierć na gilotynie.

Był to czas pełen krwi! Wystarczało wypowiedzieć nieostrożnie słowo lub być źle zrozumianym, by stać się podejrzanym a tem samem kandydatem do gilotyny. Wszystkie złe ludzkie namiętności korzystały z ogólnego zamieszania, wyroki śmierci sypały się jak z rogu obfitości.

Piotr Latreuil siedział pewnego dnia w swoim gabinecie, zatopiony, jak zwykle, w badaniach naukowych. Gruby foljant spoczywał przed nim na stole, a on odrywał od niego oczy, przyglądając się wbitej na szpilkę szarańczy, którą trzymał w ręku. Wtem zastukano do drzwi gabinetu i nie czekając na odpowiedź, wpadł zadyszany, zmieszany jakiś mężczyzna i od progu już zawołał:

— Piotrze, musisz natychmiast opuścić Paryż!

— Dlaczego? – zapytał młodzieniec.

— Jesteś oskarżony o nieprawomyślność, a oskarżycielem twoim jest Jerzy Derriére.

— Derriére? czyżby on? czyż zawiść do tego stopnia go upodliła?

— Czyż nie wiesz, że od czasu, kiedy prace twoje nabrały rozgłosu, stał się twoim zaciętym wrogiem?

— Jakto, więc przypuszczasz, że on mnie nienawidzi za odznaczenie, jakie spotkało moje prace i że chce się mścić? A więc, niechaj tak będzie, przyjmuję odważnie oskarżenie i mężnie stawię mu czoło; chcę się przekonać, czy niewinność nie zwycięży.

— Ależ to szaleństwo, mój drogi, — oburzył się przybyły — znaczyłoby to oddać dobrowolnie głowę pod miecz katowski; jedynem wyjściem jest jak najśpieszniejsza ucieczka.

Piotr Latreuil dał się przekonać doświadczonemu przyjacielowi i uznał wkońcu, że rady jego są rozsądne.

— Czy będę mógł przynajmniej pożegnać rodziców i narzeczoną?—zapytał.

— Byle szybko, nie mamy ani chwili do stracenia.

Piotr zebrał najniezbędniejsze przedmioty, z ciężkiem nad wyraz sercem pożegnał ukochanych, poczem, nie zatrzymując się ani chwilki, zbiegł ze schodów i wskoczył do czekającego na niego powozu.

Stangret zaciął konie i „żegnaj, rodzino i miły Paryżu!

*

* *

Wrzesień już miał się ku końcowi, gęste jeszcze wierzchołki lasów Żyrondy złociło zachodzące słońce. Ścieżką leśną szedł młody człowiek z tornistrem na plecach, schylał się on od czasu do czasu, tu uszczknął jakąś roślinę, tu wrzucił kamyczek do zawieszonej przez plecy blaszanej puszki, to chrząszcza, to ćmę, to znów mrówkę.

Był to nasz znajomy Piotr Latreuil.

Ubiór jego nosił na sobie ślady jego wędrownego życia, cera dawniej blada pociemniała od wiatru i słońca, i nabrała zdrowego brązowego odcieniu; w oczach tylko pozostał dawny wyraz zadumy.

— No,—rzekł, prostując zmęczone członki, — na dziś dość wędrówki, czas odpocząć! Zbiór dzisiejszy obfity, ale upragnionej modliszki jak niema tak niema. Ale gdzie dziś urządzić sobie nocleg? Aha, już wiem; o pół godziny drogi stąd znajdują się opuszczone kamieniołomy, tam chyba znajdzie się odpowiednie miejsce.

To mówiąc, sięgnął po kij swój, leżący na trawie i ruszył wielkiemi krokami po przez trzeszczący pod nogami chróst.

Sześć tygodni już minęło od chwili ucieczki z Paryża; do lasów Żyrondy dostał się z łatwością ale dłuższe tu przebywanie miało swoje bardzo niemiłe strony. Być ciągle wystawionym na wszelkie zmiany pogody, bez przytułku i dachu, odwiedzać sąsiednie wioski tylko mimochodem i to wieczorem dla zaopatrzenia się w żywność,—nie było to zbyt miłe! Lecz i takie wędrowne cygańskie życie, które zmuszony był prowadzić, nie zabezpieczało go od prześladowań i należało oczekiwać lada dzień, że i lasy pozostaną być bezpiecznem schronieniem.

Wprawdzie do tej pory nie zetknął się jeszcze z żadną bandą szpiegów, ale nawet wieśniacy, spotykani po drodze, przypatrywali mu się podejrzliwie. No i czyż w każdej chwili nie można się było spodziewać, że z Bordeau wyślą oddziały wojsk dla przeszukania lasów?

Ale więcej jeszcze, aniżeli wszelkie te przypuszczenia, ciężyła mu niewiadomość o losie i zdrowiu najbliższych.

Czy komitet nie wywarł na nich swej zemsty, nie znalazłszy winowajcy?

Podrażniona jego wyobraźnia przedstawiała mu postać przyjaciela, jak stawiony przed sądem usiłuje dowieść swej niewinności.

Nagle ciszę nocną rozdarł jęk, jak gdyby zdaleka pochodzące wołanie o pomoc; dźwięki te zdawały się wychodzić z kamieniołomów, jakby tam ktoś wzywał pomocy.

Piotr, na nic nie bacząc, zaczął szybko schodzić po stromej pochyłości i rzeczywiście, nie omylił go słuch: na samym dole leżała stara kobieta a obok koszyk z chróstem.

Młody przyrodnik ukląkł obok staruszki.

— Kobieto! co się wam stało, co wam jest? Zbudźcie się! — wołał, lecz głos jego pozostał bez skutku.

— No — rzekł zcicha, wyciągając z kieszeni flaszkę i przykładając ją do ust kobiecie, — spróbujemy, czy łyk wina nie pomoże?

Leżąca zaczęła chciwie połykać podany jej napój i powoli otworzyła oczy.

— Co się wam stało, kobieto?—powtórnie zapytał Piotr.

Stara spojrzała na Piotra, następnie palcem wskazała na swoje nogi.

— Aha — mruknął młody uczony — może mi się teraz przydadzą moje wiadomości lekarskie.

— Tak jest, matko! Zraniliście lewą nogę. W jaki sposób spotkał was ten nieszczęśliwy wypadek?

Chora zamiast odpowiedzi, podniosła oczy w górę na brzeg kamieniołomu.

— Ach tak, więc spadliście? Zapewne przy szukaniu chróstu?

Stara skinęła głową.

— Jak długo leżycie już tutaj?

Usta jej zadrgały.

— Dwa dni — przemówiła z trudnością.

— Dwa dni bez pokarmu i napoju? Ależ tu potrzebny jak najśpieszniejszy ratunek; macie tu chleb i ser. Zaraz przyniosę wam wody z poblizkiego źródła.

Skoro staruszka uczuła się wzmocniona nieco pokarmem i napojem, Piotr zaczął dopytywać, jak się nazywa i gdzie mieszka. Okazało się, że staruszka po chodzi z odległej o milę wioski, Clary, i nazywa się Cecylia Bertrand.

— Żal mi was bardzo, bo musicie przepędzić tu jeszcze jedną noc, gdyż chcąc się dostać do waszej wioski, napewno zabłądziłbym w ciemnościach; postaram się urządzić wam wygodniejsze posłanie, zostanę przy was a jutro skoro świt znajdziemy pomoc.

Pełnym wdzięczności wzrokiem wodziła staruszka za swoim przygodnym opiekunem, gdy ten wsunął jej tornister pod głowę, okrył ją płaszczem i tak jako tako urządził jej posłanie.

Po niedługim czasie spróbował i Piotr zażyć wczasu na gołej ziemi, a nazajutrz skoro tylko wzeszło słońce, zerwał się i ruszył do owej wioski, gdzie mieszkała staruszka.

Zastał tam wszystkich mieszkańców, mocno zaniepokojonych zniknięciem matki Bertrand, która z powodu bardzo miłego charakteru była ogólnie lubianą. Skoro tylko rozeszła się wieść o nieszczęśliwym wypadku, jakiemu uległa, natychmiast kilku wieśniaków ofiarowało się towarzyszyć młodemu człowiekowi na miejsce dla dania pomocy chorej i zanim słońce odbyło połowę drogi, już matka Bertrand spoczywała w swojej chacie, z doskonale opatrzoną nogą.

— No, mateczko, jesteście zabezpieczoną, ja zaś muszę udać się w dalszą drogę. Spodziewam się, że nie zbraknie wam umiejętnej pomocy i powrócicie do zupełnego zdrowia — rzekł Piotr Latreuil i zbliżył się, chcąc pożegnać staruszkę.

Na te słowa wyraz gwałtownego lęku odbił się na twarzy chorej.

— Panie! — zawołała, usiłując uchwycić jego rękę — nie opuszczaj mnie! Skąd mam sprowadzić lekarza. Jeżeli mnie opuścisz, zostanę nędzną kaleką, której tylko śmierć z własnej ręki pomódz będzie mogła. Panie, pomyśl, masz przecie drogie osoby; one też mogłyby potrzebować pomocy a ten przyjaciel, który im z początku pomógł, chciałby je nagle opuścić i rzucić na pastwę losu. Cóżbyś mu na to powiedział?

Na wspomnienie ukochanych młody przyrodnik zadrżał. Nie taił on przed sobą niebezpieczeństwa, na jakie go narażał dłuższy pobyt na wsi; mówił sam sobie, że wkrótce wiadomość o obecności nieznajomego rozejdzie się dalej i może zwrócić uwagę szpiegów. Ale na widok nędzy i opuszczenia staruszki, litość wzięła górę nad rozsądkiem i ostrożnością.

— Niech więc tak będzie! Wysłucham waszej prośby, matko Bertrand. Zostaję i będę was pielęgnować.

*

* *

Upłynęło trzy tygodnie. Dzwony wieczorne dźwięczały, wzywając na modlitwę

a wieśniacy wracali z pola, aby użyć dobrze zasłużonego odpoczynku. Matka Bertrand siedziała przed swoją chatą, obok niej na ławce Piotr z książką w ręku; twarz jego była blada a oczy podkrążyły ciemne koła.

— Ostatni wieczór przepędzam z wami, matko Bertrand.

— Panie — zawołała z przestrachem staruszka — chcesz odejść.

— Tak, jesteście wyleczeni, nie należy już obawiać się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

— Więc przyjm moje podziękowanie i życzenie oby ci zawsze dobrze w życiu było. Lecz pozwól mi zadać jedno pytanie. Czego szukasz tak uporczywie całemi dniami w lasach i na łąkach? Ranek cię wypędza, a noc przypędza... Sąsiedzi się temu dziwią. Już dawniej byłabym się was o to zapytała, ale obawiałam się, że was tą ciekawością wypędzę.

(D. c. n)

KRONICZKA.

△ W Rembertowie, pod Warszawą, pociąg przejechał na śmierć cztery osoby, a poranił dotkliwie piątą.

△ Zmarł w Krakowie profesor Wszechnicy Jagiellońskiej znany filozof, śp. prof. Miodoński.

△ W laboratorjum cukrowni „Lublin”, pod Lublinem nastąpił wybuch, przyczem zginął inżynier Z. Laskowski i praktykant Nieciągiewicz.

Dom dla lekarzy.

Niedawno wystawiono w Nowym - Jorku 18-piętrowy dom, w którym mieszkają tylko muzycy, nauczyciele śpiewu, kompozytorowie i t. p. Mogą żyć razem w jaknajlepszej zgodzie, ponieważ ściany pokojów są tak urządzone, że żaden dźwięk przez nie się nie przedostaje. Teraz buduje się w Nowym - Jorku dom. przeznaczony tylko dla doktorów, którzy będą tu mieli swe pracownie, laboratorja, gabinety przyjęć, poczekalnie i sale operacyjne; będzie to tedy coś w rodzaju kliniki, z tą tylko różnicą, że każdy lekarz będzie pracował na własną rękę. Dom będzie miał windy na nosze z chorymi, sale szpitalne, zakład apteczny i t. p.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Józefa G.” z Warszawy.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę niedawno wziętej twierdzy tureckiej przez Bułgarów.

Sylaby: a, ro, der, a, cyz, ja, le, ran, pol, wo, blin, dro, ga, ma, dos, dwi, lo, nar, lub, pi, po, lu, o, tan, gu.

Znaczenie wyrazów:

1. Bóg słońca.
2. Gatunek wielbłąda.
3. Wyspa na połud. Europy.
4. Imię żeńskie.
5. Samogłoska.
6. Kwiat.
7. Gatunek małpy.
8. Trunek.
9. Miejscowość w gub. Lubelskiej.
10. Miasto w Królestwie Polskiem.

Łamigłówka liczbowa

ułożona przez «Księcia dwóch mostów".

—o—

Liczby i krzyżyki zamienić na litery. Litery oznaczone krzyżykami, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego pisarza z XVI wieku.

+	1	2	3	4
5	+	6	7	1
8	3	+	9	3
1	4	10	+	7
11	1	6	12	+
13	9	7	10	+
4	14	10	+	1
15	16	+	17	16
17	+	18	3	15
+	16	4	19	20

Znaczenie wyrazów:

1. Stopień wojskowy.
2. Ulica w Warszawie.
3. Miasto w Japonji.
4. Pierwiastek.
5. Zwierzę przeżuwające.
6. Imię królowej polskiej.
7. Wyspa na Bałtyku.
8. Powieść włoskiego autora.
9. Miejscowość lecznicza (wspak).
10. Imię męskie.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 18.

1. Monachjum
2. Italja
3. Krajowcy
4. Osnowa
5. Łokietek
6. A
7. Jukatan
8. Kmicic
9. Orinoko
10. Pręcik
11. Etna
12. Rodan
13. Njagara
14. Irlandja
15. Krzemień

M i k o ł a j K o p e r n i k.

Rozwiązanie arytmografu z Nr. 18.

E
I n ***d*** y k
S a ***m*** u m
C e ***u*** t a
E u g e ***n*** j u s z
B u ***d*** d a
Z a ***J*** ą c
F ***e*** z
K a m c ***z*** a t k a
i
M i n ***e*** r w a
N e ***r*** o n
Ł o ***s*** o ś
S z t o ***k*** h o l m
F e l ***i*** c j a

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3